

Strajk w mieście kobiet

Magdalena Zapolska-Downar

Stoczniowcem, którzy w grudniu 1970 roku w dramatycznych okolicznościach protestowali przeciwko podwyżce cen, nie udało się wywalczyć jej cofnięcia. Dokonały tego dwa miesiące później łódzkie włóknianki.

„– Serce mi bardzo dokucza i bezsenności. Czuję się taka roztargniona, nerwowa. Sypiać wcale nie mogę. Oczywiście wątroba mi bardzo dokucza. Co najważniejsze, że jeść nic nie mogę.

– Ile pani ma lat?

– 44.

– Zawód pani?

– Tkaczka”.

To fragment rozmowy w gabinecie lekarskim utrwalony w filmie dokumentalnym *Nasze znajome z Łodzi*. Reżyserka Krystyna Gryczelowska odwiedziła z kamerą trzy łódzkie włóknianki zaledwie kilka tygodni po zakończeniu strajku, w który w lutym 1971 roku zaangażowało się ponad 55 tys. łódzian – w więk-

szości kobiet, przede wszystkim włóknianek. Co skłoniło taką masę robotnic do odejścia od maszyn zaledwie dwa miesiące po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu i zmianie na najwyższym stanowisku w PRL?

Feminizacja przemysłu

Socjologowie nazywali Łódź miastem kobiet. Już przed II wojną światową stanowiły one 40 proc. tam pracujących. Jak na przedwojenne standardy miejskie to bardzo dużo. Tymczasem tragedia wojny zmieniła polską demografię. Tuż po zakończeniu działań wojennych na terenie Polski mieszkało o 2 mln więcej kobiet niż mężczyzn. Ciężar odbudowy kraju i wykonania planu sześcioletniego spoczął w dużej mierze na barkach Polek. W połowie lat pięćdziesiątych władze spostrzegły niebezpieczne zjawisko – przerost zatrudnienia. Trzeba było zwalniać pracowników, ale oficjalnie w socjalizmie bezrobocie nie miało prawa występ-

► Bunt z 1971 roku uspokoił nastroje na niemal dekadę; na zdjęciu strajk w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego w styczniu 1981 roku





pować – to cecha kapitalizmu. Dlatego kobiety nakłaniano do powrotu do domu, ich bezrobocie ukrywano, ewentualnie przesuwano je do branż odłąd sfeminizowanych – przemysłu lekkiego, spożywczego. To, co wyróżniało te gałęzie gospodarki w następnych dziesięcioleciach, to niski poziom techniczny oraz zarobki niższe od robotniczej średniej krajowej, w Łodzi aż o 20 proc. W tym czasie władze miasta, uciekając przed monokulturowością łódzkiego przemysłu, z rozmachem uruchomiły nowe branże: chemiczną, precyzyjną, filmową, budowlaną. Tam zatrudniano głównie mężczyzn. A w przemyśle lekkim dominowały kobiety, było ich ponad 90 proc., przede wszystkim w tzw. zawodach podstawowych, jak przedzarr, tkacz czy snowacz. Wyższe stanowiska, począwszy od majstra, przypadały mężczyznom.

Cisza przed burzą

Podczas wydarzeń Grudnia '70 robotnica Łódź zastygła w oczekiwaniu. Nieco później za pośrednictwem m.in. kierowców PKS do miasta zaczęły docierać pogłoski o zawiedzionych nadziejach robotników Wybrzeża wobec łódzkich włóknarzy, których nazwano po prostu

tchórzami. Ale dzięki tej wstrzemięźliwości I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR, Józef Spychalski, mógł się pochwalić przed nowymi władzami partii, że „jeszcze raz czerwona Łódź dała [...] wyraz swojej dojrzałości politycznej”.

Tymczasem w ciągu całego stycznia 1971 roku do lokalnych władz dochodziły informacje o rosnącym niezadowoleniu wśród pracowników łódzkich zakładów, przede wszystkim w przemyśle lekkim. Powody były wszędzie takie same: niskie płace, niesprawiedliwy sposób naliczania zarobków, zła organizacja pracy, złe warunki BHP. Władza zaczęła nasłuchiwać i podsłuchiwać coraz uważniej. Wszyscy czekali w napięciu, co będzie dalej.

W kłębach pary i pyłu

Czy te postulaty były zaskoczeniem dla dyrekcji zakładów, związków zawodowych i poszczególnych instancji partyjnych, z miejską włącznie? Od połowy lat sześćdziesiątych łódzcy socjologowie prowadzili badania w środowisku włóknarskim. Powstawały prace opisujące nie tylko warunki pracy, lecz także budżet do-

► Włókiennictwo – ciężka praca w przemyśle lekkim

mowy, sposoby spędzania wolnego czasu, model wychowania. Na zebraniach zakładowych poruszano wielokrotnie sprawę nagminnego łamania zasad BHP w halach produkcyjnych. Warunki życia włókniarek nie były więc w początkach 1971 roku tajemnicą dla nikogo z decydentów z zakładów, miejskiej instancji partyjnej czy ministerstwa. A były to warunki trudne.

„Praca na tkalni to jest hałas, bieganie między krosnami, które miałam w dwóch rzędach, 16 w jednym i 4 w drugim lub 12 i 8. I to wiązanie nitek. Krosna – jak prawidłowo chodziły, to było dobrze, ale jak się zerwały, to się trzeba było uwijać, bo płacono tylko wtedy, gdy chodziły. Bo inaczej było postojowe. [...] Przynosiłam do pracy chleb, herbatę w słoiku i jadłam, biegając między krosnami. Nie było możliwości, żeby człowiek usiadł i zjadł. Najgorzej było z nockami. Sama wychowywałam córkę i jak przychodziłam o 6.00 rano do domu, to brałam się za obiad, potem odprowadzałam dziecko do przedszkola. Miałam dwie godziny na sen i szłam na zakupy, po południu odbierałam dziecko i na dwie godziny przed ►

pracą znowu się kładłam. A o 21.30 znów w tkalni. Nie dawałam już rady, dziewczyny też przysypiały nieraz na tych krosnach” – wspominała po latach tkaczka Maria Filipowicz w zbiorze relacji działaczy Solidarności *Pospolite ruszenie*.

Większość fabryk mieściła się w dziewiętnastowiecznych budynkach. Od zakończenia wojny nikt nie dbał o to, aby je wyremontować. Inne były priorytety w inwestycjach, więc połowa z nich z czasem znalazła się na liście obiektów do wyburzenia. Ale z tym się nie spiesiono, dokładając tylko systematycznie w halach produkcyjnych kolejne stemple podtrzymujące zmurszałe stropy. Proces produkcyjny wymaga wysokiej temperatury i wilgoci. Towarzyszy mu duże pylenie. Mimo to powszechnie brakowało w tkalniach, wykańczalniach czy farbiarniach klimatyzacji, wentylacji, a nawet właściwego oświetlenia. Woda ściekała po ścianach i tworzyła duże kałuże na podłodze rozedrganej wibracjami krosien. No i ten hałas maszyn, który dochodził do 110 dB (dziś 85 dB to górna norma). W ciągu jednej zmiany tkaczka pokonywała dwunastokilometrowy odcinek. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych w niektórych zakładach pojawiły się oddziały pracy chronionej dla ciężarnych, i to tylko dzięki interwencji lekarzy społeczników, bo Łódź przodowała w tragicznych statystykach: umieralności niemowląt i liczbie wcześniaków. Prawie jedna trzecia łódzkich włóknianek to matki samotnie wychowujące dzieci. Dzieci chorowały, więc i zwolnień lekarskich było u nich więcej. A na koniec miesiąca pensja mniejsza. Nie było pieniędzy na wypoczynek, nie było też miejsca na przyjaciół – 90 proc. respondentek wspomnianych socjologów powiedziało, że nie chcą, aby ich dzieci pracowały kiedyś w włókiennictwie.

Początek

10 lutego 1971 roku wśród pracowników pierwszej zmiany przędzalni odpadkowej w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego (dzisiejsze centrum handlowo-rozrywkowe „Manufaktura”), drugiej co do wielkości fabryce w ówczesnej Łodzi, rozeszła się wiado-

mość, że wypłata za styczeń będzie niższa. We włókiennictwie człowiek nigdy nie jest pewny, ile zarobi. Tu obowiązuje praca na akord. I nieważne, czy się lenisz, czy zabrakło części do twojej maszyny, czy przędza, na której pracujesz, jest tak lichej jakości, że co chwilę się rwie. Nikt nie pyta o powód twojej niższej wydajności. Nie wykonałeś normy, dostajesz mniej. Ale tym razem rozgoryczeniu towarzyszyła świadomość, że od kilku tygodni w sklepach obowiązują już wyższe ceny. Pracownicy pierwszej i drugiej zmiany podjęli decyzję – strajkujemy. Dyrektorzy i Komitet Zakładowy PZPR za wszelką cenę nie chcieli dopuścić do rozprzestrzenienia się tej „przypuszczalnie chwilowej” przerwy w pracy na inne oddziały. Bezskutecznie. Na żądanie zwiększenia płac o 20 proc., przezrzonego naliczania zarobków i cofnięcia podwyżki cen kierownictwo nie miało żadnej odpowiedzi. I za małe kompetencje. Rozgoryczenie było podsycane lekceważeniem strajkujących przez partię. W książce Krzysztofa Lesiakowskiego *Strajki robotnicze w Łodzi 1945–1976* jeden z włóknarzy wspomina: „Przyjechał jakiś partyjny. Cuchnęło od niego wódką. – Strajkujecie? Aha, strajkujecie... powiedział i wrócił na imprezę”.

Minister nie daje rady

Nazajutrz późnym wieczorem do Marchlewskiego, w którym od maszyn odeszło już prawie tysiąc pracowników, przyjechał I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR. Ale rozmawiał jedynie z wyselekcjonowanym aktywem partyjnym, co tylko zwiększyło wzburzenie strajkujących. Dzień później do włóknianek z Marchlewskiego przybyła delegacja z Warszawy: minister przemysłu lekkiego Tadeusz Kunicki, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych Władysław Kruczek i wicepremier Jan Mitrega. Mieli wytłumaczyć, że nie ma mowy o żadnych podwyżkach pensji i że czas wracać do pracy. Nadaremnie. Opór zdesperowanych kobiet się wzmocnił, a fala strajkowa rozeszła się po Łodzi, obejmując sześć kolejnych zakładów pracy, w tym największe w polskim włókienn-

nictwie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju. Nie pracowało już 12 tys. włóknarzy, z których 80 proc. to były kobiety. Lokalne władze przygotowywały się na najgorsze. W pogotowiu postawiono tysiąc żołnierzy i oficerów oraz 4 tys. milicjantów, półtora tysiąca z nich patrolowało ulice. Gmach KŁ i Komitetu Wojewódzkiego PZPR zamienił się w twierdzę, zaopatrzoną przede wszystkim w pompy i węże strażackie. Pojawiła się obawa, że w Łodzi powtórzy się tragedia z Gdańska i Szczecina.



Towarzysze widzą piekło

Nowy skład Biura Polityczne KC PZPR, mając świeżo w pamięci okoliczności niedawnego objęcia władzy, nie chciał powtórzyć błędów poprzedników. Poza tym w Łodzi strajkowały kobiety, więc rozwiązania siłowe nie wchodziły w rachubę ze względów propagandowych. Trzeba było negocjować, i to jak najszybciej, by okupacja kilku fabryk nie doprowadziła do strajku powszechnego. Do Łodzi pojechali nowy premier Piotr Jaroszewicz oraz przedstawiciele Biura

Politycznego KC PZPR, Jan Szydłak i Józef Tejchma. Prasa lokalna lakonicznie poinformowała o przerwaniu pracy niektórych oddziałów w siedmiu zakładach. Po wyreżyserowanym spotkaniu z aktywnym partyjnym w gmachu Teatru Wielkiego, zapewnieniach nowych władz o ich trosce o ludzi pracy i ostrzeżeniu („Nieświadomie pomagacie naszym wspólnym wrogom!”) delegacja z Warszawy zdecydowała się pójść do włókiarek strajkujących na terenie dwóch największych zakładów Łodzi –

Marchlewskiego i Obrońców Pokoju. To tak naprawdę pierwsze spotkanie pracowników łódzkiego „włókna” z przedstawicielami władz centralnych bez przygotowanych wcześniej pochwalnych przemówień. Atmosfera była gorąca, bo też poczucie niesprawiedliwości i skumulowana od lat frustracja sięgały zenitu. Premier Jaroszewicz przekonywał zgromadzone w zakładowej świetlicy włókiarki z Marchlewskiego o niemożności podniesienia pensji, poprosił o powrót do pracy, ale w odpowiedzi usłyszał stanowcze „nie”. Zalał go potok skarg na zbyt ciężkie warunki pracy. Na zbyt dużą różnicę płac między robotnikami a administracją fabryczną. Na faworyzowanie pracowników umysłowych przy podziale miejsc na kolonie i wczasy. Na lekarzy zakładowych, co to na prośbę kierowników nie dają zwolnień, bo produkcja ważniejsza. I na tę kaszanke, która wypełnia domowy jadłospis, bo na nic więcej nie wystarcza. Były łzy, przekleństwa, silne emocje. Jedna z włókiarek próbowała wyrwać Jaroszewiczowi mikrofon. Na wszystkich członkach delegacji spotkanie wywarło ogromne wrażenie. Tejchma zanotował: „Wczoraj, w niedzielę byłem w Łodzi, w tym w zakładach im. Marchlewskiego, gdzie trwa strajk kobiet. Piekło. Eksplozja nagromadzonego niezadowolenia, goryczy, niezadowolonych od lat spraw i potrzeb”.

Przed północą spotkanie dobiegło końca. Nic nie uzgodniono. Delegacja z Warszawy pojechała do zakładów im. Obrońców Pokoju. Postulaty były te same: podwyżka płac, obniżka cen mięsa, poprawa warunków pracy, przestrzeganie zasad BHP i lepsze traktowanie przez kierowników. Przebieg spotkania był podobny, bardzo dramatyczny. Na sali płacz. Premier tłumaczył się przed robotnikami, że nic o tym wszystkim nie wiedział. Że to вина Władysława Gomułki. I że teraz będzie lepiej. Przekazał robotnicze pozdrowienie od towarzysza Gierka. A Jan Szydłak podziękował włókiarkom za zaproszenie, dodając, że to skandal pracować w takich warunkach, jakie zobaczył.

Kulminacja

Nad ranem do strajku dołączyły pozostałe zakłady bawełniane oraz siedemnaście innych, związanych z przemysłem lekkim i metalowym. Przy wyłączonych maszynach czuwało już 55 tys. łódzkich robotników. To mniej więcej tyle, ile zastrajkowało później w całej Polsce w Czerwcu '76. „Stańło całe włókno i cała wełna” – mówiono na ulicach. Tak masowego strajku powojenna Łódź jeszcze nie widziała. Ale to strajk niezorganizowany, bez koordynacji, komitetów strajkowych, międzyzakładowych. Choć wśród przywódców strajkowych byli również mężczyźni, to protest miał charakter zdecydowanie kobiecy, rozhisteryzowany, bo w domu nie będzie co jeść. W tkalni Obrońców Pokoju na znak protestu ktoś próbował popełnić samobójstwo, bo część załogi chciała wznowić pracę. W Marchlewskim metody perswazji równie dramatyczne: która nie chciała strajkować, tej koleżanki groziły pobiciem. Oprócz gniewu i strachu przed konsekwencjami było też poczucie odpowiedzialności za swój zakład. Szybko zorganizowana straż porządkowa pilnowała wejść, przechwytywała wnoszony alkohol. Wydział farbiarni skończył partię materiału, bo przecież szkoda, żeby się zmarnował. Przędzalnia odpadkowa postanowiła odrobić straty w najbliższą sobotę.

Wokół zakładów im. Marchlewskiego zgromadzili się gapie i rodziny. Kilku ludzi próbowało na pobliskim skrzyżowaniu budować barykadę z ławek i pojemników na śmieci. Stopniowo przyłączało się coraz więcej młodzieży. Nawoływano strajkujących do wspólnej manifestacji. Skoro włókniarze postanowili pozostać w zakładzie, kilkuset demonstrantów wyruszyło na ul. Piotr-



► Strajk z marca 1981 roku w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego

kowską w stronę budynku Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Wybito kilka szyb. Gdy tłum skierował się w stronę siedziby partii, interweniowało ZOMO. Walki na głównej ulicy Łodzi trwały do późnej nocy.

Zwycięstwo

Biuro Polityczne KC PZPR było bezradne. Wiedziano, że podwyżka płac w jednej branży uruchomiłaby żądania w innych i pożar strajków w kraju by nie zgaśł. Jedyne rozsądne wyjście to przywrócić w sklepach ceny sprzed grudnia.

Wieczorem 15 lutego w radiu nadano komunikat Rady Ministrów o cofnięciu podwyżek cen. A następnego dnia odwołano I sekretarza KŁ PZPR, Józefa Spychalskiego. Zakłady uruchomiły produkcję, a włóknienki z Marchlewskiego ufundowały kościelną chorągiew z wy-

haftowanym dziękczynieniem: „Dziękujemy Ci Matko Najświętsza za opiekę w dniach 10–15 II 1971”. Wkrótce dostały dodatek do pensji i przerwę śniadaniową. Lokalne władze partyjne i związkowe pospieszenie kontrolowały warunki pracy w kolejnych fabrykach.

Ślady zwycięstwa włóknienek są widoczne do dziś. Niedługo po zakończeniu strajków rząd opracował plan rozwoju i modernizacji miasta, w które dotąd nikt nie inwestował. Miasta zaniedbanego, ze szczątkową kanalizacją, wodą ze studni, mizerną komunikacją. Powstały nowe dzielnice przemysłowe, wielkopłytowe osiedla, trasa W-Z i wodociąg z Pilicy. Zanim nadszedł kryzys gospodarczy, udało się zmodernizować ponad sto fabryk pamiętających czasy *Ziemi obiecanej*.

Lutowe strajki można odczytać jako krzyk rozpaczny włóknienek. Cięż-

kie warunki pracy i życia przyjmowały dotychczas z pokorą. Były pogodzone z losem, od wczesnej młodości związanym z halą fabryczną, jej zaduchem i hałasem. Brzemie odpowiedzialności za rodzinę, zwłaszcza gdy były jedynymi żywicielkami, powstrzymywało je od jakiegokolwiek formy buntu. Dopiero drastyczne obniżenie pensji, realna groźba głodu w rodzinie zmusiły do zatrzymania maszyn. Przez kolejne dziesięć lat znów miały stać przy krosnach, skupione nad gładką nicią przędzy. Odporne na próby wciągnięcia do rodzącej się wówczas opozycji. Nieufne. Pospieszenie wracające z nocnej zmiany do budzących się ze snu dzieci. Dopiero Sierpień znów popchnie je do buntu. ■